

SAMPLE
TRANSLATION

TADEJ GOLOB
ŚWIŃSKIE NÓŻKI

PUBLISHED BY: LITERA, 2009

TRANSLATED BY: MARLENA GRUDA

ORIGINAL TITLE: SVINJSKE NOGICE

NUMBER OF PAGES: 231

Tadej Golob: Świńskie Nóżki

Siedem

Szliśmy spać przy dźwiękach żab i deszczu. Prawie w tym samym czasie, bo nie mogliśmy z Mają nastawić telewizora. Tam na dole przez naszą dwudziestoamperową antenę nic nie łapało. Musielibyśmy mieć przynajmniej trzydziestkę, a i przez nią, coś mi się zdaje, by śnieżyło. W pokoju było co prawda specjalne gniazdko na antenę, tylko że zepsute. Byliśmy do tego przyzwyczajeni, już od czasów studenckich. Tam mieliśmy mały przenośny telewizor *Iskrin*, przedpotopowy, z wielkimi przyciskami na górze do zmieniania kanałów i okrągłą metalową anteną. Antenę na jakiejś imprezie zdjęliśmy i wyrzuciliśmy przez okno, no i telewizor już nie odbierał. Ptem poszedłem jej szukać, bo to ja ją wyrzuciłem, ale już jej nie było. Próbowaliśmy wciskać w ten odbiornik wszystko, co się tylko dało. Nie pomogło. W końcu znalazł się w mieszkaniu łom, alpinistyczny, dziwnie zagięty, i jego szpic, albo cokolwiek to było, wcisnąłem do telewizora, łopatkę z drugiej strony wbiłem w strop górnej półki i w ten sposób włożyłem telewizor w swego rodzaju imadło. Potem chodził, ledwo co, ale chodził. Na przykład na zbliżeniach meczu można było zobaczyć piłkę, ale jak pokazywali z daleka, to już nie, bo cały ekran pokryła jedna wielka plama śniegu. Tak że nie oglądałem specjalnie piłki nożnej, zresztą wtedy mnie też jakoś nie interesowała. Raz oglądaliśmy śmieszny koncert Dany Kaya. Wydał nam się zabawny, i tak byłem jego fanem, bo Dworski wariat to najśmieszniejsza komedia pod słońcem. Problem w tym, że dopiero następnego dnia dotarła do nas połowa kawałów, bo na naszym telewizorze nie dało ich się wyłapać.

Czyj był łom, jak się u nas znalazł, nie mam pojęcia, ale tak było.

Szymon pierwszy raz w swoim życiu miał swój pokój. To znaczy, nie był jego, bo był wynajęty, chciałem powiedzieć, że sam spał. Zasnął szybko. Może był zmęczony rzępoleniem, może uśpiły go żaby, rechoczące na dworze, a może monsunowe ulewy. Greek, greek, szszszsz, greek, greek, szszszsz... Przypomniałem sobie bajkę Svetlany Makarovič *Sapramyszka*, w której występuje w roli drugoplanowej jedna taka mała zielona żaba, bardzo sympatyczna, ale i trochę głupia, bo gubi drugi orzech myszki, która go nie może przegryźć z powodu złamanego ząbka. Pierwszy zżarła jej wiewiórka, a trzeci był robaczywy. Poszliśmy raz z Szymonem do kina na kreskówki, takie długometrażowe, amerykańskie. Te, choć były z lektorem i miały wszystko, w tym piękne rysunki, nie podobały mu się. Moim zdaniem za dużo w nich też było historycznych dygresji i skomplikowanych ujęć kamery, przypominających hongkońskie filmy karate dla półdorosłych, gdzie kule lecą w *slow motion*. Prawdziwą sztuką było tłumaczenie Szymonowi, dla którego był ten film przeznaczony, skoro był już z lektorem, co i jak i dlaczego... Całą bajkę

przegadałem, próbując wyjaśnić historię, że na końcu dzwoniło mi w głowie, a małemu i tak było nudno. Przy *Sapramyszce* prawie o nic nie pytał, bo tam wszystko jest jasne. Stracony orzech względnie złamany ząb powoduje, że mysz wyrusza w świat po pomoc, a tam dupa. Zepsuci (wiewiórka), głupi (żaba) i pech (zepsuty orzech). Jeśli wzięliby ją w swoje ręce Amerykanie, pewnie zamiast myszki wrzuciliby coś egzotycznego i mały pewnie znowu by marudził.

»Tatuś, co to jest?«

»Małposum.«

»Co to jest małposum?«

»Takie jedno włochate zwierzę.«

»Tatuś... wszystkie zwierzęta są włochate.«

»Nie wszystkie. Niektóre nie są... na przykład węże.«

Albo żaby, jak już jesteśmy w temacie.

I teraz, jeśli chodzi o rechoczące żaby, normalne, że Szymon zaczął drążyć temat, zaskoczyłby mnie, jeśli by nie.

»Tatuś, ale to nie jest rega-kwak.«

»Jest, powiedziałem, tylko się wsłuchaj.«

Wsłuchał się i kiwnął głową.

»Nie jest.«

»No jest, patrz: greeeka-szwaaak, grega-kwak, rega-kwak...«

»Nie jest. W ogóle cię nie znają.«

Odjechał w autku, które wcześniej rozłożyli i zrobili z niego łóżko, a potem przenieśli do łóżeczka Szymona, sfatygowanego całym tym przestawianiem i składaniem. Przy każdej przeprowadzce gubiłem jakąś śrubkę, dlatego było takie rozklekotane. Miejsce brakujących śrubek związałem taśmą izolacyjną, tą samą, którą sklepiłem auto. Maja się wkurzała, że taśma się zerwie i wszystko razem z Szymonem gruchnie na ziemię. Ale tak je obwiązałem prawie połową rolki, że musiało wytrzymać.

»Jasne, że wytrzyma, powiedziałem, skoro auto wytrzymało, ja pierdołę.«

Jak raz gdzieś walnąłem Hyundayiem wygiął się zderzak i przymocowałem go właśnie tą samą taśmą izolacyjną.

Choć w aucie tak naprawdę nie wytrzymała. Trzymała dopóki było sucho. Raz jak zaczęła moknąć, odkleiła się. Wystarczyło, że tylko jedna kropla weszła pod spód, wyrzusiło ją i przy

raz osiemdziesięciu na godzinę zaczęła ciągnąć w drugą stronę, czasem też bez tego, tak sama od siebie. Tak że każdego ranka musiałem wycierać i kleić na nowo.

»W aucie nie wytrzymała«, powiedziała Maja.

»Tak, ale tam jest wilgoć...« i tak dalej. Ciągnięcie tego tematu było bez sensu, bo oczywiste, po kiego chuja się tak działo i że w domu tak by nie było.

Z Szymonem zazwyczaj zasypiała Maja. Po pierwsze dlatego, że mały chciał z nią, a po drugie, bo mi się nie chciało, choć ostatnimi czasy chciał też ze mną, i potem musiałem iść, to też i chciałem. Może miał to po mamie, w genach, że chce mnie zaciągnąć do łóżka, a może dlatego, że całe dnie byliśmy razem, bo Maja pracowała, a ja nie i przyzwyczaił się do tatusia, tatusia.

Jesteś piękny i kocham cię, czasem w środku zabawy przybiegł do mnie urwis mały, myślałem super, bo niewielu ludzi na świecie powiedziałoby ci to, a co dopiero naprawdę tak myślało. Nawet nie chodzi o to, że cię kochają, to mały przyszczył, ale że jesteś urodziwy. W tym rzecz, że dla większości ludzi nie byłem piękny, w dodatku przeważnie sam sobie nie wydawałem się taki, bo taka jest prawda, kurwa, i nie ma na to rady, ale dla Szymona byłem, dlatego nigdy go specjalnie nie zmuszałem do spania, tak że chodził spać o dziesiątej, z czym później był problem. O dziesiątej zwykle było coś ciekawego w telewizji, jeśli w ogóle kiedykolwiek. Ale teraz i tak nie mieliśmy telewizora, trzeba by było coś z tym zrobić albo czytać książki albo się na przykład pieprzyć. Chociaż z tym jest tak, że nie będziesz tego robił godzinę i czterdzieści pięć minut, tyle ile trwa film długometrażowy, a z reklamami dwie. Zajmie ci to piętnaście minut, ewentualnie dwadzieścia, jeśli macie długi staż. Może, jeśli jesteś świeżo zakochany, to wtedy jeszcze piętnaście minut sprintem, i jeden film, potem piętnaście minut szybkiego biegu i, powiedzmy film dokumentalny o afrykańskich gazelach albo o wyrobach z drewna albo jakimś wielkim człowiekiem, i jeszcze ostatnie piętnaście minut westchnień, po czym wsłuchiwanie się w ciszę albo program z muzyką weselną. Jeśli oczywiście zdzierżysz telewizję.

Długo nie mogłem zasnąć, co nie wydało mi się specjalnie dziwne, bo zwykle tak bywa pierwszej nocy w nowym miejscu. Mam wrażenie, jakby jakieś obce dusze latały w powietrzu, jeszcze od poprzednich mieszkańców, nie wiedząc, że teraz mieszka tu ktoś inny. Że przeprowadzając się, zapomnieli ich zabrać ze sobą, albo zrobili to celowo. Wydawało mi się, że ich zapach unosił się w powietrzu, że ich kapuśniaki zostały w kuchni, gówno w łazience, a sperma na autku... Wiele razy mówiłem Mai, że mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje, ale ona zazwyczaj była tak padnięta, że było jej wszystko jedno. Wyjątkiem był seks, wtedy tak jakby zmartwiona rozglądała się wokoło, chociaż wydaje mi się, że w głębi duszy ją to rajcowało. Mam wrażenie, że kobiety to, żeby rznąć się publicznie, najlepiej na jakiejś scenie, walić go rękami, bardziej kręci niż facetów. My mamy inne fantazje. Żeby dwie albo jej siostrę, a jeśli jej nie ma, to najlepszą przyjaciółkę, jeśli ona też nie, to jakąkolwiek, która byłaby za. Kiedyś chwilę o tym rozmawialiśmy. Maja powiedziała, że nie rozumie, dlaczego faceci chcą popychać bliźniaczki. Że jeśli ona byłaby facetem i chciałaby na raz z dwiema, to logiczne, że wybrałaby dwie różne.

Odparłem, że nie myślałem o tym, bo rzeczywiście nie myślałem, ale potem zacząłem i ten pomysł z bliźniaczkami wydał mi się podniecający, do czego oczywiście się nie przyznałem i stwierdziłem, że ja też wolałbym dwie różne. Po tej rozmowie nie spałem, bo i ja, jak byłem zmęczony, fantazjowałem. Także wtedy, gdy byłem w czarnej dupie, potrzebowałem jedną, dwie godziny, zanim się poddałem, jeden taki reset, bardzo powolny, procencik za procencikiem, tak jak mój komputer, gdy ma za mało ramu albo pamięci krótkoterminowej albo cokolwiek. Myślałem też o Marcinie Krpanie i obrazy przewijały mi się w głowie. Sceny, figury, chuje, cipki, walka i zażynanie, krew, pot i sperma... zachwycająco. Wiedziałem, że to potrafię, kurwa, wiedziałem, jak tak fantazjowałem, że w łóżku przed spaniem nawet najbardziej zjebane sprawy wydają się proste, choć nie są, bo wymagają jednej takiej do skrajności pojebanej uwagi, takiej pieprzonej koncentracji, że aż się bałem. Wymagają dyscypliny, czasu i miejsca. Spokoju i rytuału. Najpierw to i potem dokładnie to, a następnie właśnie tamto, że wpadasz w rytm. I żadnych myśli o tym, że jest opcja, że może nie wypalić, i kto to zlecił, i co by chciał ode mnie, i ile by mi za to zapłacił, i czy mi się to opłaca, i czy mógłbym robić coś innego zamiast tego, i dokąd to prowadzi. Trzeba się podjąć sprawy, tak jakby ci ją kochany Bóg ojciec położył na stół w postaci jakiegoś jedzenia, powiedzmy, jakiejś szynki i ciasta, i jeśli ci pasuje, proszę, jedz, a jeśli nie, to nic. Tak jakby to była najlżejsza cipeczka na świecie, nic, cipka mała bez sensu. I że nie zawalisz, nawet jeśli tego nie weźmiesz, i nie zjesz, jak ci kurwa dają, bo to w końcu nie może być jakaś byle jaka praca. Oczywisty fanatyzm, że tak powiem, jest potrzebny. Świat wokół ciebie się wali i burzy, dąb się łamie i ziemia trzęsie, wszystko wchodzi do dupy, a ty masz to gdzieś i dalej cicho klaszczesz, sam w swoim pokoju i lepiej, że żaden cię nie opierdala, lepiej jak jesteś zły. Tylko najgorzej, jak nie masz na chleb. Łatwiej być fanatykiem z pełnym brzuchem. Burczenie hamuje proces twórczy. Do tego przeprowadzki, zepsute samochody i dziecko.

Musiałbym wstać i zacząć rysować, bo tak się we mnie gotowało. Tylko, że jak myślałem o tych rzeczach, czegoś mi brakowało. Co teraz? Mogłem go sobie zwalić i iść rysować, tylko to nie byłoby to, nic w porównaniu z tym, co mi się pałętało w głowie. Jeśli czegoś nie zrobię, to nigdy nie zasnę i nigdy nic nie narysuję. To były skutki tych ciągłych po chuj przeprowadzek, te nowe miejsca cię stymulują. Czegoś ci brakuje, tak jakbyś szedł do jakiegoś hotelu, z tym że tam jest lepiej, bo nie trzeba na drugi dzień sprzątać, i pornosy możesz oglądać, choć za dopłatą. Jakaś zmiana, albo coś, co cię podrażkuje.

Maja spała na plecach, padnięta na amen. Zacząłem się zastanawiać, pogłaskałem się po fiucie, ale jakoś nie szło, po czym odsunąłem kołdrę, delikatnie podniosłem jej pupę i ściągnąłem z niej piżamę. Zamruczała, ale się nie obudziła. Rozszerzyłem jej nogi i powąchałem cipkę, która pachniała ciepłem. Rozparłem cipeczkę, jej zewnętrzną część i pogłaskałem lechtaczkę palcem. W pół minuty napięła się jak wysuszony kwiat zalany wodą. Wcześniej była pognieciona, trochę w lewo, trochę w prawo, a teraz pięknie gładka czekała na jeszcze. I zacząłem ją lizać, męczyć po główce na szczycie warg sromowych.

Mmmm... powiedziała Maja.

Cipka wilgotniała.

Mmmm...

Dalej przechadzałem się językiem po klitorisie, obok jeszcze przytknąłem palec. Maja się przebudzała i zaczęła współpracować. Jeszcze bardziej rozszerzyła nogi, a ja włożyłem palec w nią do końca i zacząłem pieścić jeszcze od środka.

Po tym jeszcze długo nie mogłem zasnąć, ale przynajmniej już mnie nie ścisnęło i mogłem normalnie myśleć. Wydaje mi się, że musi ci czasem czegoś zabraknąć, żeby coś z siebie wycisnąć. Wtedy możesz działać. Sprawy poukładane nie napędzają. Jeśli musisz coś zrobić, musisz być tam na dole opróżniony, głowa musi pulsować. Tryskać, puchnąć. Teraz mogłem spokojnie leżeć na plecach i patrzeć w sufit, słuchać śpiewu amfibii i zimny jak szprycer myśleć o rysunkach, które mi się narysują. To znaczy, ja je narysuję, bo chuj, nie narysuje się samo z siebie. Te same chuje i cipki i wszystko to latało mi przed oczami jak wcześniej, zanim się zająłem Mają, ale teraz patrzyłem na nie jak na problemy rysownicze, tak jakbym oglądał jakiś program komputerowy w 3D, w którym obracam na ekranie cipkę, jednocześnie ją mierząc i malując i dodając tła i tak dalej. Choć nie wiem, dlaczego chodziły mi po głowie komputery, skoro wszystko i tak rysowałem ręcznie.

Żaby na zewnątrz były coraz głośniejsze. Szkoda, że nie mogę ich wykorzystać w Krpanie... Mimo to zrobiłem mały szkic w głowie...

Bo proces jest stopniowy. Najpierw jest szkic, którym bardzo ogólnie zaznaczasz figurę, tło i resztę, rysując tak długo, aż nie będziesz zadowolony z postępów, albo jakkolwiek inaczej, żebyś miał wrażenie, że praca posuwa się naprzód. Wyczujesz, jeśli prowadzi cię do nikąd. Jedni to robią ołówkiem, inni też flamastrem, ale ołówek jest oczywiście lepszy, bo możesz go wymazać, najlepszy miękki. Możesz robić mniejsze szkice późniejszego komiksu, żeby być szybszym, bo chodzi tu bardziej o pewien zamysł. Bo jak zaczniesz, nie wiesz, albo i wiesz, co tak naprawdę nie robi różnicy, ale dopóki nie zaczniesz naparzać na papierze, nic nie ma większego sensu. Przy tym trzeba się zdecydować na format i podział formatu na dwa razy po dwa obrazki w trzech rzędach, albo po trzy obrazki w trzech rzędach, jeśli idzie o prostsze warianty. Nie może być *Art* i wszystko porozrzucane w trzy dupy. Jeśli decydujesz się na trzy obrazki, historia biegnie lżej: teza, antyteza, synteza, a jeśli na dwie, jest bardziej rockowo, w rytmie bum-bum. Alan Ford na przykład rysuje w tym stylu. Dowiedziałem się o tym na jakichś warsztatach. Najbardziej zabawne jest to, że rysowałem w ten sposób już wcześniej, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy. Tam, gdzie było bardziej lirycznie, ciągnąłem historię w po trzy obrazki w rzędzie, a tam, gdzie trzeba było ciąć, po dwa. Wróciłem do swoich wcześniejszych komiksów i to zauważyłem. Potem z tych obrazków robi się *story board* według scenariusza, który sam napiszesz, albo robi to za ciebie ktoś inny. Scenariusz jest cholernie ważną sprawą, bo jeśli historia ci się nie spodoba, to po rysunkach. Potem przechodzisz na większy format i tam twoi bohaterowie już mówią, bo na *story boardu* nie mogą, wszystko jest tam pogryzmołone, zwłaszcza na moich. Tam już wszystko dokładnie rysujesz, cały czas ołówkiem. A potem różnie. Jedni jakiś czas kolorują. Najpierw ścierają i kolorują przez linie, które jeszcze ciągle widać, inni używają czerwonego lub niebieskiego ołówka, i dopiero potem rysują po tym tuszem, wszystko

razem skanują i odbijają kolor. Inni przechodzą na pergamin i rysują przez niego, jeszcze inni na ksero, a niektórzy wszystko skanują i na komputerze obrabiają i jeszcze coś dorysowują, odwracają, zmniejszają lub powiększają, bo tak się da, potem drukują bardzo delikatnie w kolorze cyjan i na tym kolorze rysują flamastrem. Jak to zeskakujesz, możesz niebieski kolor odbić i dostaniesz tylko czarne linie, na których kontynuujesz pracę. Przy tym można zawsze coś dodać na komputerze, pociągnąć jakąś linię, coś zamknąć i tak dalej. Ale i przy tym kluczowy jest rysunek ręczny. Możesz też wszystko robić ręką. Idzie wolniej i masz mniej możliwości korygowania. Ja tak robiłem, chociaż próbowałem już wszystkich sztuczek. Tu chodzi o komiks, do którego mnie bez przerwy ciągnęło w fantazjach, choć te ilustracje nawiązują bardziej do technik malarskich. Stąd też Marcin Krpan to bardziej ilustracja z jakimiś komiksowymi elementami.

Potem raz mi się chyba przysnęło, dokładnie w momencie, gdy zacząłem się zastanawiać, czy mam w ogóle odpowiednie farby i materiały. Oprócz tego nie pamiętam nic więcej, no i jeszcze to, że Maja kilka razy w nocy wstawała, bo mały ją wołał, i w końcu miała tego dosyć i nad ranem mały został u nas. Ale to tak jakoś w półśnie i nie mam pojęcia, czy to było dokładnie tego dnia, bo i tak to wszystko działo się noc w noc. Bo gdyby Szymon nie spał wtedy pierwszy raz w swoim pokoju, Maja by nie wstała i potem by jej nie było. I, oczywiście, przez to, co stało się potem rano, a było to naprawdę coś, o czym nie można zapomnieć, było już po rysowaniu, nawet ręką, jakkolwiek, i nawet po myśli o rysowaniu, choć byłem teraz podjarany i *ready for burn*. Teraz, zaraz na stół, farby w ręce i dalej, lecimy...

Ale jak się obudzisz w pokoju pełnym zab, które pieprzą się i patrzą na ciebie, nie możesz się nie wkurwić.

Osiem

Wiele razy się zastanawiałem, czy te żaby nie były jakimś ostrzeżeniem, ostatnim znakiem z góry, że będzie kupa. Bo najwyższy władca mówi chyba przez multum innych ust i mnie może mówi przez żabie. To by mnie nie zdziwiło. Może w tym rzecz, że nie mówimy w tym samym języku. Że on nam ciągle coś wyjaśnia, a mi tylko mówi: »Aaaa...« Albo jest zwyczajnie jajcarzem. Albo umiera od nadmiaru pracy i chciałby mnie zmęczony tylko zobaczyć, jeśli bym się przed nim zjawił.

Grrrk, grrrk, Jan, tutaj jesteście, grrrk, grrrk...

Nie żeby mi zagrażały, bo nie były jakimś tygrysem albo czymś w tym rodzaju, krokodylem, albo jakimś większym węzem. Morze jednakowych żab, w istocie nie niebezpiecznych. I nad tym się właśnie zastanawiałem, czy to możliwe, że one chcą mi powiedzieć coś w stylu:

Tutaj jesteście, tutaj jesteście...

Ale nie w sensie, że chcą mi coś zrobić, bardziej to, że nawet nie wiedzą, że ja tam jestem, że po prostu idą swoją drogą i znajdują się na mojej, jak według jakiegoś planu, i że to coś znaczy.

Na łóżku były trzy pary. To znaczy, gdy Maja wrzasnęła, skoczyła na podłogę i stamtąd na stół, zostały trzy pary, choć wydaje mi się, że też wcześniej nie było ich więcej, że nie wytrzymały jej wrzasku. Dwie pary były bardziej brązowe, większe, a jedna para mniejsza i bardziej zielonkawa. Ta para najbardziej mi się podobała. Jeśli mógłbym wybierać, wybrałbym zielone, jeśli to konieczne. Małe zielone żabki. Ale to była tylko reprezentacja. Na podłodze było ich jeszcze co najmniej milion. Nie wiem czemu, wyglądały jakby wszystkie chciały wejść na łóżko. Podnosiły się na swoich płetwołapkach i wspinały po metalowych nogach łóżka. Na koniuszkach swoich paluszków miały kulki. Dotąd myślałem, że to taki kreskówkowy chwyt, dla dzieci, i sam też je dodawałem, jak rysowałem dla nich, ale jeśli chodziło o coś realycznego, to nie. Teraz widzę, że rzeczywiście mają te kulki i że na przyszłość, jeśli jeszcze kiedyś będę rysował jakieś żaby, będę to musiał mieć na uwadze. Podniosłem się na łokciach i zastanawiałem, co teraz. Nie mogłem stanąć boso na podłodze, bo aż mnie ciarki przechodziły, jak pomyślałem o zimnej żabowni na swoich stopach i kostkach. Kapci też już nie miałem, bo te laziły po nich.

»Jan, zrób coś!«

Maja kuciała z małym na stole, mały płakał. Normalne, skoro go na siłę obudziła, a ja stałem na łóżku-sofie i nie wiedziałem, co zrobić. Nie było gdzie stanąć, nie było miejsca nawet na jeden krok *frogfree* miejsca w całym mieszkaniu.

»Jannnnn!«

Już lekko histerycznie.

No nic. Stałem na podłodze. Nie miałem wyjścia, choć nie wiedziałem do końca jak rozwiązać ten problem. Nie miałem żadnego planu, ale mimo wszystko parłem między nie, palcami lekko odsuwając żabią parę i robiąc sobie miejsce. Wolałem to, niż jakbym miał je rozdeptywać piętą. Dziwne, w ogóle nie były zimne ani nawet wilgotne i nie zwymiotowałem ani nie skoczyłem w panice na stół obok Mai i małego. Jeśli zapomniałem o wszystkim, jeśli stanąłem na planecie *walciesię* mogłem znieść ich łożenie po moich nogach.

I co teraz? Skąd przyszły? Powoli, powiedziałem sobie, powoli Jan, teraz trzeba pomyśleć, żebyś jeszcze czegoś nie spieprzył. Trzeba je tylko wyrzucić na dwór, i będzie dobrze. Spojrzałem przez drzwi do atrium. Na zewnątrz było ich jeszcze drugi milion, usiłujący wejść do środka, jakby nie wiem co tu było, jakaś żabia oaza albo chuj wie co. Jeśli otworzyłbym drzwi, te zwałyby się do środka. Słowem, trzeba je jakoś wywalić przez okno.

»Poczekajcie tutaj«, powiedziałem do Mai, choć nie musiałem, bo i tak nie mieli się gdzie ruszyć, ale w sytuacjach napięcia musisz czasem mówić na głos, żeby przekonać sam siebie, że jeszcze nad nim panujesz i tym samym nad sobą samym. Tak samo jak na przykład kolesie w kryminałach, którzy rozpracowują przewody jakiejś bomby, odliczającej ostatnie sekundy. Mówią sami do siebie, udowadniając sobie, że jeszcze są żywi, i mają jakiś plan, choć na końcu i tak naciskają tą ostatnią czerwoną i blefują. Coś w ten deseń. Raz, raz, dwa, dwa...

Na palcach wyszedłem na korytarz, a z niego to spiżarni po miotłę i szufelkę. Potem do pokoju dziecięcego po plastikowe wiadro z pokrywką. Było mniejsze, może na jakieś pięć żabich par średniej wielkości, jasnobrązowych, ale innego nie mieliśmy. Mieliśmy plastikowe miski, do których weszłyby ich więcej, ale wyskakiwałyby z nich, bo nie miały pokrywki; nawet gdyby miały, byłyby za płytkie. Z pokoju dziecięcego mogłem zobaczyć, że drzwi na dwór są zamknięte i zwątpiłem. Naprawdę nie miałem zielonego pojęcia, którędy mogły wejść. Ale w tej chwili bardziej zastanawiałem się nad tym, jak się ich pozbyć.

Zacząłem w pokoju dziennym względnie naszej sypialni, czyli w kuchni, żeby jak najszybciej ją zwolnić, zdobyć oswobodzoną ziemię i potem stamtąd kontynuować operację. Żaby wydawały się powolne, choć takie nie były, tym bardziej wtedy, gdy próbowałem je nałożyć na szufelkę. Nie chciały się uspokoić ani na sekundę, żeby im je chociaż mógł włożyć do wiaderka. Za każdym razem jak je zagarniałem, zeskakiwały na dół. Potem przeszedłem na gryf i jakoś szło, trochę też dlatego, że stałem się bezwzględny i szybko zamykałem za nimi pokrywkę. Inaczej by wyskakiwały. Wyrzucałem je przez okno w kuchni, wychodzące na atrium. W rzeczywistości bardziej je wypuszczałem niż wyrzucałem, bo było mi ich żal, tak że też jak je wkładałem na szufelkę uważałem, żeby im nie połamać łapek, co znacznie komplikowało sprawę.

Dwie godziny przerzucałem żaby, przynajmniej tak mi się wydawało, że to były dwie godziny. Maja, po tym jak kuchnia została oczyszczona, zeszła ze stołu i trochę się uspokoiła.

Dla odmiany to ja wykonałem całą brudną robotę. Szymon znowu się darł, ale teraz dlatego, że on też chciał sprzątać żaby. Przy ostatnich dałem mu szufelkę, żeby spróbował, ale Maja go opierdoliła i zaczął płakać jeszcze bardziej, potem go przeprosiła i opierdoliła mnie. Między bogiem a prawdą wszystko to działało mi już na nerwy. Bo kto w końcu wynajął to mieszkanie, jeśli mamy być fair?

»Maja, kurwa, przecież to nie ja wpuściłem te żaby do środka...«, ale na tym skończyłem, bo już płakała.

W mieszkaniu nie było już żadnych żab. Maja zaczęła wycierać podłogę, ciągle bojąc się, że natrafi jeszcze na jakąś gdzieś pod łóżkiem, choć wszystko sto razy sprawdziłem, i można powiedzieć, pod warunkiem, że te zwierzęta nie mają transportera do przesyłu istot żywych, że jesteśmy uratowani. Wtedy zacząłem się zastanawiać, skąd się wzięły. I skoro tego nie wiem, zastanawiałem się, czy nie pojawią się znowu, jak zamkniemy oczy? Jeszcze raz posprawdzałem wszystkie kąty w pokoju dziennym, i jako że żadnej nie znalazłem, uznałem, że naprawdę ich nigdzie nie ma, chyba że jakaś się gdzieś skryła, ale, dobra, jedna jeszcze nie jest tragedią. Poza tym nigdzie nie widziałem żadnej dziury, przez którą mogłyby wmaszerować...

»Jannnnn! Znowu!«

Były na korytarzu, jakieś trzy pary, jeszcze więcej przypelzało z łazienki. Poleciałem po szufelkę i po wiaderko, pakowałem je do środka, śledząc ich linię frontu. Dwa razy musiałem podchodzić do okna, ciągle nie mogąc dotrzeć do łazienki, skąd wyłaziły. Ale jak mogły wejść do mieszkania tamtędy, jeśli w łazience nie ma żadnego okna i żadnych drzwi oprócz tych na korytarz? Postawiłem wiadro i wysunąłem głowę przez drzwi.

Z kibla wyłaziły kurwy, z kibla!

Patrzyłem i nie mogłem uwierzyć. Jakby ich muszla rodziła, jakby była transporterem do przesyłu materii na odległość, naprawdę, jak w *Enterprisie*, tylko jeszcze uszatego *beam me up*, *Scottie* brakowało; on pewnie stał po drugiej stronie i wrzucał je do środka. Zrobił się wielki bąbel, po czym pojawiła się nowa żabia para, odbiła się i przystanęła na tych ohydnych kafelkach. Zamknąłem muszlę.

»Tup, tup, tup...«

Mimo że nie mogły się wydostać, ciągle próbowały. Nigdy już nie pójde srać. Już kiedyś wcześniej, siedząc, wyobrażałem sobie, że od spodu wyłania się ręka i odrywa mi jaja albo wtyka palec do dupy, na twardo, bez pieśczenia. A teraz to. Nigdy. Spuściłem wodę, ale tak jakbym tego nie zrobił. Bulgotało i bulgotało, pewnie bez skutku, bo cała woda podniosła się do góry, odsunęła pokrywę i strumieniem rodziła nowy zielono-brązowy pluton bojowy.

»Kurwa mać, kurwa mać, co to jest, co tu się dzieje?«

Stałem tam tak, po kostki w wodzie i żabach i nie wiedziałem nic, oprócz tego, że traciłem nerwy i przeklinałem, żeby wypierdalały te żaby i zostawiły nas w spokoju. Milisekunda przed paniką. Śni mi się to, czy jak?

Erupcja się uspokoiła, pokrywa opadła z powrotem na muszlę i żaby już nie wychodziły. Było słycać tylko tup, tup, tup. Na górę dałem jeszcze na wszelki wypadek trzykilowy *Persil*. Maja znowu kucala na stole do czasu, aż nie wywaliłem nowych żab za okno, jeszcze jakieś pół godziny. Teraz to już miałem tego wszystkiego serdecznie dosyć.

Wpisałem numer właściciela mieszkania. Długo dzwoniło, co mnie jeszcze bardziej wkurwiło. My żaby, a ten fiut na Seszelach...

»Złotnik.«

»Przepraszam«, powiedziałem, »nawet nie wiem od czego zacząć, ale w mieszkaniu mamy żaby.«

»Żaby?«

»Milion żab, wyłażą z ubikacji.«

Chwila ciszy, po czym:

»Jest pan pewien?«

»Jak to jestem pewien? czy mamy żaby jestem pewien, czy jestem pewien, że wchodzą przez ubikację?«

Maja wyrwała mi telefon z rąk.

»Żaby mamy w mieszkaniu, rozumie pan! Milion żab!«

To samo ja powiedziałem, sobie pomyślałem po cichu.

»Chcę opuścić to mieszkanie«, powiedziała, »jak najdalej od tego mieszkania.«

Potem znów coś powiedział, ale nie wiem co.

»Nie, nie, nie...«

Jakiś czas było cicho, po czym powiedziała, tak, niech pan da lodowe, że aż mi się zrobiło zimno, i odłożyła telefon na stół.

»Co?«

»Powiedział, że przyjdzie.«

»Lepiej dla niego.«

Usiedliśmy za stołem i chwilę milczeliśmy. Na dworze padało. Szum kropel mieszał się z tym niby rechotaniem. Szymon dziwnie się zamyślił, kartkując jakąś książkę z obrazkami i dla

odmiany nie potrzebował asystencji. Maja siedziała za stołem i wyglądała na zrozpaczoną. Tak jakby utopiły jej się wszystkie stateczki, a mnie się wtedy wszystko wydało bez sensu. To znaczy, ważne, że nikomu nic się nie stało, żaby są na dworze. Co jeszcze może się nam przytrafić? Zrobiłem kawę.

»Kurwa, tak już jest«, powiedziałem, »z tymi żabami. Przyjdzie lato...«

»Co?«

»Mogło być gorzej. Mogły to być krokodyle.«

Uśmiechnęła się. Chwała Bogu, że to ja je wywałam na zewnątrz.

»Tup, tup, tup«, powiedziała.

»A ja myślałem, że rysuję dziwaczne komiksy«, powiedziałem, »tup, tup, tup«, i Maja się śmiała. Miałem wrażenie, że wcześniej trochę przesadzałem, chcąc go zabić, w panice, bo te żaby to naprawdę nic przyjemnego. Ale od tego się nie umiera i pedał Złotnik pewnie nie dał ich tam specjalnie. Mogło się to w ogóle zdarzyć pierwszy raz i może akurat przyda mi się to w jakimś komiksie, bo czegoś takiego kurwa to ja sobie nie przypominam. Oboje się śmialiśmy, piliśmy kawę i obserwowaliśmy Szymona, zatopionego w książce z obrazkami i bóg jeden wie jakimi myślami w tej małej główce. Miał śmieszoną fryzurę. Nie chciał się strzyć, my też go nie zmuszaliśmy i włosy mu urosły jak jakieś dziewczynce, zaczęły się kręcić, tak jak mnie, gdy je zapuściłem. Jedynie z przodu Maja mu je trochę skróciła, żeby coś widział. Śliczny był, mały cukiereczek.

W międzyczasie zaczęło mnie zbierać na sranie, przez kawę, pewnie, ale czekałem na krześle, aż mnie skręci, bo tak jest, moim zdaniem, najlepiej. Przyjdę, zostawię, nie biwakując na kiblu... I jak wstałem, cofnęło mnie – na kiblu! Ale było już za późno. WC nie było do użytku, a ja z gównem na wylocie. Skakałem jak antylopa przed pożarem lasu, ale nie było gdzie. Zerwałem jakiś worek, żeby wysrać się do niego. Jak skończyłem, wszystko było polane, gówno po części w środku, po części na zewnątrz. Maja ciągnęła Szymona na bok, bo ten chciał to zobaczyć. Bo – tego nie wiedziałem wcześniej – w ogóle nie możesz srać, nie sikając jednocześnie. To nie wchodzi razem do worka.

Kurwa mać, zabiję go!

Jeśli pojawiłby się w tej chwili, naprawdę bym to zrobił, ale przyszedł półtorej godziny później, i to jeszcze nie on, tylko jakiś robotnik, mówiąc nam, żeby mu pani otworzyła piwnicę, bo chce zobaczyć pompę, kurwa, przecież i ja tam byłem, oczywiście, bo gdzie miałbym być?

Dziewięć

Nie powiedział swojego imienia, tylko tyle, żeby otworzyła piwnicę, bo chce zobaczyć pompę.

»Pompę«, powiedziała Maja, »nawet nie wiedziałam, że ją mamy«.

Ja też nie wiedziałem.

»Wiem ja«, proszę pani, spoglądając na nią spod pięćdziesięcioletniego łysego czoła, i skręcił przez drzwi do wspólnych pomieszczeń na tam samym poziomie, co nasze mieszkanie. Pewnie to był tak zwana piwnica, a mieszkanie to niski parter. Otworzył drzwi, drewniane, na listwy, i tam na ścianie była ta pompa. Jedne cewki w środku, inne na zewnątrz z jednym heblem.

Musiałbym go opierdolić, że jeśli coś chce, ma rozmawiać ze mną, bo to ja jestem tutaj gospodarzem. Ale nie zrobiłem tego, bo przede mną szła Maja i korytarz był zbyt wąski, żeby iść obok, i bo... nie zrobiłem tego. Może przestanie.

»Zawsze to samo«, powiedział. »Szkoda pieniędzy na wentyle zwrotne, i ja to potem muszę łątać. Choć lubię łątać«, i znów się zaślinił do Mai, której zrobiło się niezręcznie. Spojrzała na mnie i potem szybko w drugą stronę.

»Kurwa...«

»Jan, daj spokój!«

Zadzwonił telefon, mój, miałem tego wszystkiego serdecznie dosyć i chciałem wyjaśnić...

»Jan, daj spokój!« powiedziała łapiąc mnie za rękę.

Może to Złotnik, pomyślałem, i to mnie zatrzymało.

To był Zoran, gorzej jakby dzwonił Złotnik. Musiałem odebrać.

»Potrzebuję towar«, powiedział wprost.

Powiedziałem, jasne, nie ma sprawy, tylko kiedy, bo teraz nie mogę.

»Nie pierdol mi tu teraz«, powiedział, »musisz, kurwa i koniec!«

»Nie mogę!«

... nie mogę i przypomniałem sobie, że naprawdę nie mogę, bo mi nie działają wycieraczki.

»Auto mi się zjechało.«

Przeklął tak soczyście i głośno, że Maja mnie szturchnęła.

»Poczekaj na mnie w domu!« i jakieś przekleństwo, kurwa mać albo coś w tym stylu.

Chciałem powiedzieć, w porządku, tylko że ten już odłożył słuchawkę.

Przekłęte wariatkowo! Wcześniej sto lat nic, nikogo, a teraz wszystko na raz.